



Opowieść świąteczna

Hanka V. Mody

Zaraz po pierwszym listopada, a dokładniej gdzieś w okolicach piątego, jak co roku przeskoczyliśmy do grudnia. W sklepach pojawiły się mikołaje, sztuczne choinki, ozdoby i prezenty świąteczne. Wprawdzie siódmego listopada sklepy zamknęli z powodu pandemii, ale witryny nadal ukazywały radosną świąteczność. Chociaż mam pewne wątpliwości, czy właściciele sklepów byli równie radosni jak te witryny. Już wtedy miałem też wątpliwości, czy przypadkiem świąt Bożego Narodzenia też nie odwołają, tak jak Wszystkich Świętych, albo nawet przeniosą, na wiosnę na przykład, bo wiosną jest bezpieczniej i można się radować na świeżym powietrzu, ale mogłoby to kolidować ze świętami Wielkiej Nocy, które znów trzeba by przenieść bliżej lata. A wiadomo, że bliżej lata, to ludzie już nie myślą o świętowaniu, tylko raczej o plażowaniu.

Ileż ludu wyległo na nadmorskie plaże w tym roku, to głowa mała. Staralem się trzymać z daleka, ale przyznaję, że wdowiec w moim wieku to raczej nie ma innych możliwości, by popatrzeć na żywo, na młode, jędrne ciała. Tak więc czasem zachodziłem na plażę wygrzać stare kości i pooglądać naturę. Ale to było latem, które jak zwykle skończyło się szybciej niż inne pory roku i nastąpiła ponura jesień. Chodziłem więc sobie wieczorami po mieście i patrzyłem na witryny, które w tej swojej radości jeszcze bardziej napawały smutkiem. Zawsze lubiłem nocne miasto. Może to nieładnie, ale od wielu lat chodziłem po zmroku na spacer, krążyłem między domami, między blokami i zaglądałem ludziom do okien. Tak, właśnie tak robiłem. Bezczelnie i z premedytacją wciskałem się w ich życie, a oni nawet o tym nie wiedzieli. Byłem przez chwilę ich gościem i cichym świadkiem drobnych scen, które odgrywali dla siebie, dla swoich bliskich i przez kilka minut dla mnie. Przyglądałem się wystrojowi ich mieszkań i niektóre rozwiązania wykorzystywałem w naszym rodzinnym domu. Patrzyłem, jak parzą herbatę, jak odstawiają kubek na blat, jak siedzą wpatrzeni w telewizor czy jak się kłócą. Albo kochają. To oczywiście najrzadziej, bo zazwyczaj ludzie w takich chwilach unikają odsłoniętych okien. Miałem jednak okazję i takie sceny zobaczyć. Przyznaję, że od 2002 roku regularnie zabierałem ze sobą lornetkę, bo zdarzyło mi się już nie raz, że coś ciekawego mnie omijało, bo nie miałem jej przy sobie. Owszem, ciążyła mi, dlatego kupiłem niewielki, lekki plecak, do którego ją pakowałem, by pomagała mi w moim niewinnym, choć może nie do końca moralnym hobby. Jednak ciekawość była silniejsza. Możliwość

zanurzenia się w czyimś świecie przeważała nad podszeptami, które mówiły, że może tak się robić nie powinno. Zagłuszałem je dość szybko.

Lubiłem jazdę samochodem po nocnym mieście w poszukiwaniu punktów wypadowych, z których mogłbym ruszyć na swój codzienny czy raczej cowieczorny spacer. W niektórych miejscach bywałem tylko raz, do innych wracałem wielokrotnie, bo czułem w nich dobrą energię. Takie było osiedle domków u zbiegu ulic Żeromskiego i Mickiewicza w Sopocie. Kameralne uliczki pozwalały krążyć po osiedlu jak po labiryncie. Odwiedzałem starych znajomych i patrzyłem, czy coś się zmieniło. Tak było na początku grudnia tego roku. Sunąłem spokojnie ulicą Tuwima i już zbliżałem się do jej końca, gdzie zwykłem przystawać na chwilę, by później zawrócić, gdy mój wzrok padł na biały, elegancki dom otoczony tujami. Przez te tuje ciężko było dostrzec, co się dzieje na parterze, ale za to świetnie widziałem piętro, na którym znajdowała się między innymi kuchnia, widoczna dość dobrze od strony drogi, tym bardziej, że w oknach nie było żadnych zasłon. Zazwyczaj ludzie kuchnię mają na parterze, chyba że jest to dom wielorodzinny, ale z tego, co się zorientowałem, mieszkało tam dość zamożne małżeństwo z dwójką dzieci. Tym razem to, co zobaczyłem, wprawiło mnie w osłupienie. W ich kuchni urzędowała kobieta, mniej więcej w moim wieku, i robiła rzecz tak nieprawdopodobną, tak zakazaną i oburzającą, że stanąłem jak wryty, a z moich ust wydobyło się przerażone „O Boże!”. Zanim zdążyłem pomyśleć, co powinienem zrobić w takiej nieprawdopodobnej sytuacji, kobieta spojrzała w okno i zdało mi się, że patrzy, równie zdumiona jak ja, wprost na mnie. A stałem wszak w poświęconej latarni, bom nie myślał, gdzie się zatrzymuję w zdumieniu. Zadrżałem i poczułem nagły chłód. Ona, ujrawszy mnie, podeszła do okna i robiąc z dłoni daszek, osłaniając oczy od światła, wyjrzała na zewnątrz. Spojrzeliśmy na siebie, a ja wtedy, jak jakiś pierwszy lepszy podglądacz, a może i złodziej nawet, odwróciłem się na pięcie i pobiegłem przed siebie, uciekając przed jej wzrokiem i przed widokiem, którego byłem świadkiem. Biegłem tak nieprzerwanie, aż dopadłem samochodu i dysząc ciężko, usadowiłem się w środku. Takie sporty oraz przeżycia nie były dla mnie. Zdecydowanie. Myślałem gorączkowo, co dalej, lecz moją głowę owładnęła pustka. Zostałem jej niewolnikiem, więc uznałem, że udam się do swojego mieszkania i tam ułożę jakiś plan działania, bo to, co się działo w tamtym domu, dziać się nie mogło.

Uznałem, że zanim cokolwiek zrobię, muszę mieć pewność, a tę mogłem zdobyć jedynie, wracając na miejsce zbrodni. Oczywiście nie mogłem liczyć na to, że sytuacja się powtórzy i zyskam dowody, ale nic innego nie przychodziło mi do głowy. Ubrałem się jak zwykle na czarno, by nie rzucać się w oczy, przywdziałem czarną масeczkę, którą i tak ściągałem gdzieś w okolice brody, bo trudno mi się oddychało w tej szmacie na nosie, i uzbrojony w lornetkę, ruszyłem pod dom, w którym upiorna kobieta robiła upiorne rzeczy. To miał być radosny czas, a ona szykowała swojej rodzinie... Przypuszczałam swojej rodzinie. Ale musiała być z nimi spokrewniona, skoro wieczorową porą pałętała się po kuchni. Ach, sam bałem się, co też mogła im zgotować. Skoro mowa o gotowaniu, moje myśli wróciły do Jadzi i jej świątecznego barszczu. Panienko przenajświętsza, co też to było za cudo. Na domowym zakwasie, z dużą ilością suszonych grzybów, które wcześniej razem zbieraliśmy, a później nawlekaliśmy na nitkę i rozwieszaliśmy w kuchni. Cały dom pachniał tymi grzybami, a później pachniał nimi barszcz. Pachniał też czosnkiem i majerankiem. Nikt nie robił takiego dobrego jak Jadzia. Nasza córka Basia nigdy się tego nie nauczyła od matki. Za to ja sobie radziłem i z zakwasem, i z barszczem, ale brakowało w nim tego czegoś, serca i ręki Jadwigi. W tym roku to nawet mojej córki miało zabraknąć na święta Bożego Narodzenia. Uznała, że nie będą mnie z mężem i wnuczką narażać na zakażenie. Toteż zamiast na zakażenie, narażałam mnie na samotność. Tego jeszcze nie przerabiałem. Oczywiście, po śmierci Jadzi czułem się strasznie samotny, ale Basia mnie odwiedzała. „Teraz też cię, tatku, odwiedzimy, tylko inaczej”, powiedziała. Ale co to za odwiedziny przez jakąś kamerkę, jak człowiek nie może się dotknąć, przytulić i pomilczeć razem, słuchając kolęd. Ech, co też ta pandemia narobiła. No, w każdym razie postanowiłem ratować święta innych, co by ich ta czarownica nie potruła.

Podkradałem się powoli, sunąc przy ogrodzeniu. Założyłem nawet масeczkę i naciągnąłem bardziej niż zwykle czapkę, by nie świecić własną twarzą. Rozglądałem się, czy aby nikt z psem na ostatni spacer się nie wybrał, ale na szczęście ludzie siedzieli w domach. Nie było się co dziwić, bo wiał zimny wiatr i zaczął deszcz, rozmazując mi obrazy. Bez okularów i w deszczu moja widoczność zupełnie zmaląa, a nie mogłem założyć okularów, bo масeczka sprawiała, że parują. A do dupy z taką technologią. I tak źle, i tak niedobrze. Szedłem więc, a właściwie skradałem, jak jakiś szpieg z krainy deszczowców, nie widząc za wiele, gotów jednak na poświęcenia. I właśnie w tamtej chwili mój but wylądował w czymś miękkim, usłyszałem nawet lekkie „plask” i aż się wzdrygnąłem na myśl, co to mogło być. I było. A jednak ktoś się

wybrał na spacer z psem trochę wcześniej i jakiś baran, jakiś Janusz spacerów z psem, nie raczył sprzątnąć po swoim czworonogu. Uznałem, że powinienem i na niego się zacząć. Bosz, co to była za koszmarna ulica. Do tej pory spokój i cisza, można było bez nerwów przechadzać się i po prostu patrzeć, a tu takie rzeczy zaczynały się dziać. A to babsko przebrzydłe, a to jakiś idiota z psem. I wtedy naszła mnie myśl, że to mogło być ukartowane, wszak rodzina, u której widziałem kobietę w kuchni, miała psa, i to nie małego, coś w typie owczarka. I może ona jakimś cudem się chroniła przede mną, wszak mnie widziała wcześniej. Tylko skąd mogła wiedzieć, że wrócę, i to akurat tego dnia? Nie wiedziała, ale mogła przypuszczać. I mogła tak codziennie z tym psem chodzić i zasieki stawiać, dywersję robić, żebym ja nic nie zrobił i rodzinie nie doniósł. Tym bardziej się zawzięłem, but o trawę wytarłem i o krawężnik, ledwo pawia przy tym nie puszczając, ale poszedłem dalej. I co ja patrzę? Sąsiedzi tych z białego domu na balkonie wywiesili mikołaja. W sumie to go za balkonem wywiesili biedaka. Takiego, co się po sznurku niby wspina z wielkim workiem na plecach i przez ten balkon cyk, i z prezentami pod choinkę. Ale ten biedny mikołaj to się tak pewnie do wiosny będzie wspinał, zanim go zdejmą i wywieszą jakiegoś zajaca wielkanocnego albo inne jaja. Zajaca to pewnie za uszy, biedaka, żeby radośnie łapkami podrygiwał. Mikołaj natomiast na czubku miał czerwoną lampkę, która kręciła się jak strażacka syrena. Brakowało jeszcze radosnego „ho, ho, ho”. W złą godzinę to pomyślałem. Bo jak zza zakrętu wyskoczył prawdziwy, to znaczy bardziej ludzki mikołaj, i jak nie huknął tego „ho, ho, ho”, i dodał: „A kogo ja tu widzę? Może by szanowny pan dał prezencik mikołajowi”? to się srogo zląkłem. Po czym spostrzegłem, że mikołaj raczej wstawiony, zamiast renifera trzymał na smyczy takie małe coś, takiego psa niby, co to teraz ludzie kupują, żeby im się do torebki mieścił, i w małej kawalerce też. Jakiś york czy inny czilała. Ja to nie wiem, ale dla mnie to koło psa nawet nie stało. Przeprosiłem grzecznie, powiedziałem, że nic nie mam i mikołaj równie grzecznie się oddalił, mówiąc czule do zwierzaka: „Chodź, Stasiu, pańcia na nas czeka”. Stasiu nie miał wyjścia i ruszył ciągnięty za swoim panem, szybko przebiegając małymi nóżkami.

Zamyśliłem się. Kiedyś i my mieliśmy psa, jak jeszcze Jadzia żyła, a Basia była mniejsza. Kajtek był wspaniałym przyjacielem, duży, czarny, dostojny i świetnie się sprawdzał na spacerach. Słuchał się mnie, a i nie strach było tak po nocy łązić. No i miałem świetne alibi. Kiedy Kajtek umarł, a raczej go uśpiliśmy, bo już stary i chory był i nie można było pozwolić, żeby się męczył, to musiałem kombinować przed Jadzią. A że uśpiliśmy? Przecież pies to też rodzina. Jak człowiek. W każdym razie

członek rodziny. I ja też bym chciał, żeby mnie uśpili, jak będę chory i nie będzie już dla mnie żadnej nadziei. Ale w tym kraju to nie ulżą człowiekowi, będzie się musiał męczyć do końca. Katują tych ludzi strasznie. Tak jak Jadzia się męczyła przed śmiercią, a ja razem z nią, nie mogąc jej pomóc. Bo kto to widział, żeby człowiek się musiał dusić, aż się udusi. I znikąd pomocy. I co z tego, że w szpitalu leży, że niby coś dadzą, jak to już nic nie pomaga. I się męcz, bo życie najważniejsze. A tfu. Teraz w imię tego życia to kobiety chcą męczyć, aborcji zakazać, chore dzieci nakazywać rodzić. Ale przecież oni wcale nie za życiem są, a za rodzeniem w imię nienawiści chyba do innych, w imię własnych brudnych sumień, a później się człowieku martw, bo później to życie ludzkie już warte tyle, co nic. Stałem tam i niepotrzebnie się zdenerwowałem, bo czułem, jak mi ciśnienie skacze, a serce zaczyna bić zbyt szybko. Postanowiłem wrócić do siebie, bo nie chciałem tam wpaść w tej uliczce w jakąś psią kupę. Marna by to była śmierć. A jakbym przeżył i ktoś by mnie znalazł, to i tak na szpital szans żadnych bym nie miał, bo covid wszędzie panuje i szpitale pozajmowane, albo się boją przyjmować. Sąsiad spod dziewiątki udaru dostał, to go tak długo przyjmowali, testy robili, dobę na wynik czekali, że jak go w końcu przyjęli, to już nie wyszedł biedaczysko. Pogrzeb był dopiero co. Ach, szkoda gadać. Niewesołe te święta w tym roku. Ludzie w strachu, w smutku, w żałobie i w samotności. Przynajmniej część. Bo część to w radości i z rodziną, znajomymi. To ci, co w wirusa nie wierzą i jeszcze nie mieli się okazji przekonać, że istnieje. Za to w wielki spisek wierzą, że im będą czipy jakieś wstrzykiwać, żeby zapanować nad ich umysłami. Nad umysłami to panują już dawno. Niby po co ta telewizja cała? Sączą ludziom propagandę z lewa i prawa, a oni już dawno nie myślą sami, tylko chłoną to wszystko, a później głupoty powtarzają. Dlatego ja telewizji nie mam. Wolę pochodzić i popatrzeć, co w świecie, co w oknach, jak ludzie naprawdę żyją, jak mają mieszkania urządzone. Ot, taka niegroźna potrzeba. Jadzia w końcu przestała się denerwować, jak jej kiedyś powiedziałem, że przez lata chodzenia na spacer z psem tak się przyzwyczaiłem, że muszę kości rozruszać i głowę przewietrzyć. I nic nie mówiła, jak wychodziłem. I nawet udawała, że nie widzi, jak lornetkę pakuję do plecaka, i wodę, i herbatę. A czasem to nawet kanapkę brałem i zjadałem ją jak w kinie, zamiast czipsów.

Piękna była ta nasza Basieńka. Ubrała się świątecznie i uczesała. I moją wnuczkę ubrała w sukienkę czerwoną. Wszyscy tacy odświętni, zięć też. I ja się ubrałem w garnitur i koszulę białą, choć wszystko takie udawane. Oni tam, ja tu. Przed

komputerem. Pogadaliśmy troszkę. Emilka o szkole opowiedziała, co to też ma ją teraz zdalnie. Ale Basia i Adaś do pracy chodzą i niby się dobrze czują, ale „kto to wie, tatku, to po to, byśmy się za rok spotkali”. Tak mi ta moja Basia powiedziała. I rozumiem ją, ale i tak smutno. Bo w moim wieku, z moim nadciśnieniem, to nie wiadomo, czy kolejnych świąt dożyję. I jak się już rozłączyliśmy, a ja barszcz postawiłem na gazie, to mi się przypomniała niezakończona sprawa z Tuwima. Wyłączyłem gaz i pomyślałem, że pal licha, że to Wigilia, tym bardziej trzeba działać. Jak stałem w tym garniturze, tak założyłem buty i kurtkę i wyszedłem.

Podjechałem prawie pod sam ich dom, bo śnieg padał, a ja nie zamierzałem się ukrywać. Tylko tego mojego barszczu było mi trochę szkoda. Zakwas w tym roku wyszedł idealny. A wszystko dzięki takiej grupie na fejsie o kiszonkach. Oni tam dobre rady dawali. I tak jak mnie moja Jadzia uczyła, część z nich też uważała, że do zakwasu nie można wkładać metalowych przedmiotów, bo to zło jest straszne i się później można potruć. Drewniana łyżka i już. Ale byli oczywiście i tacy wywrotowcy, co metalową mieszała i jeszcze się tym publicznie chwaliła. Barbarzyńcy. Aż mną zatrzęsło. Wsiadłem z samochodu i spojrzałem w okna. Była tam. Cała na białło. Przynajmniej bluzkę miała białą, bo dołu to nie widziałem. I co robiła? Podniosła łyżkę do ust, ale ręka się jej widocznie zatrzęsała i zobaczyłem, jak kropla barszczu spada na tę śnieżną biel i barwi ją niczym krwią, którą ta kobieta mogła mieć na rękach. I było to tak wymowne, tak symboliczne, że nie wytrzymałem i ruszyłem do furtki, która okazała się otwarta. Tam znów wdepnąłem w coś obślizgłego, co mnie tylko utwierdziło w przekonaniu, że to ich pies srał, gdzie popadnie i nikt tego nie sprzątał, ale niezrażony ruszyłem dalej i zacząłem łomotać do drzwi.

Otworzyła ona, z plamą na bluzce i zdziwieniem na twarzy. I gdy mnie zobaczyła, nie wiedząc, kim jestem, poinformowała mnie, że jej dzieci, tak się wyraziła, że jej dzieci wyjechały i jeśli ja do nich, to niestety nikogo nie zastałem, a ona tu pod ich nieobecność domu pilnuje. Tak mi powiedziała, obcemu człowiekowi, zupełnie nieroztropnie. A do mnie dotarło, że faktycznie ostatnio nie widziałem ani ich, ani samochodu i psa też nie, więc to nie ich pies tak sra. I że kobieta, która stoi przede mną, nikogo nie otruje, co najwyżej siebie. I dotarło do mnie, że zaraz za zdziwieniem pojawił się smutek na jej twarzy. I zrozumiałem, że nie chcę, że nie będę afery robił o tę metalową łyżkę, co nią wtedy zakwas mieszała, a ja to widziałem i mnie tak wzburzyło. Że może faktycznie część ludzi na grupie od kiszonek ma rację, że od tego się nie umiera, bo gdyby tak było, to nie byłoby komu się kłócić.

Zrozumiałem, że są święta, Wigilia, a ona jest równie samotna jak ja i ma prawo zjeść barszcz, jaki chce.

– Ale skoro się pan fatygował, to może pan wejdzie – doleciał do mnie jej delikatny, cichy, niepewny głos. – Właśnie barszcz podgrzałam. Mam jeszcze uszka i trochę pierogów. I śledzika. Nie jest dużo, ale i dla strudzonego wędrowca się znajdzie – kusila, a ja zamarłem.

– Ale ja nic nie mam, a tak nie wypada – odrzekłem, bo już czułem, że chcę wejść i spędzić z nią te święta, a przynajmniej Wigilię. I że nawet na barszcz się skuszę.

– Ma pan siebie, a towarzystwo w tych czasach to cenna rzecz – odparła, a ja przyznałem jej rację. I wtedy mi się coś przypomniało. Przeprosiłem grzecznie, powiedziałem, że zaraz wracam i pobiegłem do samochodu, w bagażniku miałem naleweczkę z malin i wiśni.

– Jestem gotowa. – Krystyna uśmiechała się do mnie łagodnie.

Odwzajemniłem uśmiech.

– Na pewno ciepło się ubrałaś? – dopytywałem z troską, bo zabierałem ją na wieczorny, sylwestrowy spacer. Tym razem nad morze. A później zamówiłem nam jedzenie z restauracji. Chciałem, by było odświeżenie. No i niech ci restauratorzy też trochę zarobią, bo pandemia i zamknięcia restauracji źle się z nimi obeszły.

– Tak, mam pod spodem ciepły sweter. – Mówiąc to, naciągnęła na głowę fioletową czapkę, zrobioną przez siebie na drutach. Jej szare oczy uśmiechały się do mnie.

– A ja mam dla nas naleweczkę. – Pokazałem z zadowoleniem piersiówkę, którą schowałem do kieszeni. – Tym razem jagodowa. – Puściłem do niej oko.

– Ach, Wiesiu – zaśmiała się jak dzierlatka. – Ty i te twoje naleweczki. Pamiętam, jak mnie rozgrzały w święta. – Może mi się zdawało, ale chyba się zarumieniła.

– Ja też pamiętam. – Uśmiechnąłem się i wyciągnąłem do niej dłoń, którą złapała w ciepłym uścisku.

EPILOG

Na Allegro zamówiłem najpiękniejszą drewnianą łyżkę, jaką znalazłem. Moja Krysia musi mieć wszystko, co najlepsze. I powiem jej, żeby zapisała się do tej grupy o kiszonkach. Wydaje mi się, że kolejny rok będzie znacznie przyjemniejszy.

Dziękujemy za lekturę i mamy nadzieję, że zechcecie sięgnąć po *więcej*.

Nasza pierwsza publikacja tuż, tuż, a tymczasem zapraszamy Was do śledzenia naszych działań na www.wydawnictwo-eos.pl oraz na naszych kanałach na [Facebooku](#) i [Instagramie](#)!